

Autor: Wojciech Rosensch
Redakcja: Libroscha

Dzień 3. IV. 69
Godz. 16⁰⁰ - 17⁰⁰ 65

PRZEDZIAŁ
/ "fragm. powieści" /

Wydawnictwo Literackie
Warszawa
Zezwolenie na wgl. s. eme
Nr. 119
21169

Zapowiedź:

Bohaterami powieści jest dwoje młodych ludzi - kobieta i mężczyzna. Traf chciał, że poznali się w Gdańsku w czasie pobytu nad morzem i wracają teraz pociągiem do rodzinnego miasta. Mężczyzna nieco wcześniej dostrzegł, że budzi się w nim uczucie do kobiety, że pociąga go zarówno jej uroda, jak i skomplikowana osobowość. Reakcje kobiety na różne wydarzenia są często pogmatwane i niejasne, a niekiedy nawet wyraźnie odbiegają od przyjętej normy. Mężczyzna przypuszcza, że powodem tego stanu rzeczy są jakieś tragiczne przeżycia z okresu dzieciństwa i młodości. Dyskretnie, krok za krokiem pragnie rozwikłać zagadkę. W pędzącym na południe pociągu po raz pierwszy zbliża się do jej źródeł. Skuchacze wybaczą autorowi, że w przedstawionym fragmencie nie wyjaśni do końca, co jest przyczyną dziwnych reakcji Anny. Ale takie jest prawo rozwoju powieści, że ujawnia ona swoje tajemnice stopniowo i etapami, podobnie jak utwór muzyczny, którego sens pojmujemy w pełni dopiero wówczas, gdy rozlegnie się jego ostatni akord.

ciąg przenknał koło stoczni. Brzydka ceglasta hala, a nad nią pomalowane na żółto dźwigi. W Gdańsku zadarłem wysoko głowę, by zobaczyć wznoszony nową metodą wieżowiec. Nic nie zobaczyłem. Dym, mgła, deszcz osiadły nad miastem jak puszyste, szare przedziwo. Ukryły je, omotały. Zapropnowałem Annie wagon restauracyjny. Odmówiła. Kiedy przepychaliśmy się korytarzem obejrzał się za nami, za Anną raczej, wysoki mężczyzna w zmoczonym płaszczu. Krzyk nad sztucznym lodowiskiem. Pewnie nas strzelili bramkę. Nie trzeba wcale iść na mecz. Wystarczy siedzieć w domu i wsłuchiwać się w te okrzyki. Po raz drugi zobaczyłem namiękłą twarz tego mężczyzny, kiedy idąc wolno taksował wzrokiem wnętrza przedziałów. Wzrok miał chyba nie najlepszy, bo żeby coś dojrzeć musiał opierać czoło o szybę. Przy naszym przedziale zatrzymał się dłużej. Odemknał nieco okno. Wystawił policzek na pastwę rozpedzonych kropel. Przedział był pełny. Przy oknie, naprzeciw Anny, spał młody chłopak w czarnym berecie. Obok niego siedziała kobieta z wykrzywionymi nogami. Opatulona psrą chustą trzymała na kolanach dziecko. Staruszek z ogorzałą twarzą, ubrany odświętnie, lecz staromodnie, usiłował wystukiwać laską rytm kół podskakujących na złączach szyn. Mimo pocziwego wyglądu było w nim coś złośliwego. W drugim kącie siedział ktoś nakryty paltem. Chyba muzykant, bo nad jego głową leżała trąbka w brezentowym pokrowcu. Koło mnie dwie kobiety szeptały sobie coś na ucho.

~~- Napiszę coś o tej podróży. - pomyślałem.~~

O szybę ukosem zacinał deszcz. Za Tezewem nieco się przejaśniło. Dostrzec było można płaskie pola, samotne drzewa, na których przycupywały znużone lotem gawrony i sroki, pobielone zagrody otoczone laskowymi płotami i roztopioną w szarym тумanie kotlinę Wisły. Droga, po wyłupiastych kocich łbach przetończył się chłopski pogrzeb. Dwa konie nakryte ciemnymi derkami

ciągnęły furę z pozbawioną zdobieć trumną. Celebrant i ministrowie w białych koczach, najbliższa rodzina i krewni - wszyscy wyczernieni, znajomi i przygodni uczestnicy śmiesznie drobili nogami, by nadażyć za znarowionymi zwierzętami. Widok konduktu przykuł wyraźnie uwagę Anny. Pociąg jednak wpadł w las. Wszystko znikło, rozmyło się w szaro-zielonej pomroce. Białą i czerwienią zamigotał szlaban. Wyprostowany na baczność dróżnik zasalutował chorągiewką. Zza dalekiej gęstwy złączącej z garbu wzgórza odezwały się dzwony. Na stacji zawalonej odartymi z kory pniakami wysiadły skądś obydwie kobiety. Zabrały ze sobą swoje puste, wymoszczone białym papierem kosze.

- Czy są wolne miejsca?

To był ten mężczyzna. Zdażył już sprowadzić swoją walizkę i jakieś okutane kolorowym sznurkiem paczki. Zdjął płaszcz, rozsiadł się wygodnie. Był rzeczywiście wysoki, ciężki. Zauważyłem że przez jego czoło biegła długa szrama. Chyba od zdzielenia szablą. To mi przypomniało jak mój wuj, nocą, w wyklejonym tapetą pokoju zmagał się z Kozakiem, który w niepojęty sposób wdarł się do wnętrza domu. Żądał siana i obroku dla koni. Po dziś dzień została na stole szczerba i rozbity budzik. Wuj pokożył Kozaka na ziemi, przy pomocy syna związał go postronkiem, a rano przekazał komu trzeba. Potem przyszła wiadomość, że Kozak poszedł do kompanii karnej za tę i inne sprawy. Muzykant gwałtownym ruchem odrzucił poję palta, aż trąbka zakopotała na głąk półeczce.

- Czy to już Kwidzyń?

Był zupełnie łysy. Czaszka błyszczała mu jak lampa. Musiał ją czymś smarować, może nawet wyświecać szmatką. Do tego twarz zdeformowana jakimś silnym ciosem. Krzywa, pocięta, a jednocześnie wydłużona. Surowa mimo karykaturalnego grymasu. Przydymiona kilkugodzinnym, agresywnym zarostem. Budząca naprzemian to

W.
Hud

W.
Hud

69

współczucie, to odrazę.

- Niech się pan uspokoi. Jeszcze nie.

- Chwała Bogu, bo myślałem, że już sobie dzisiaj nie zagram.

Nachylił się nade mną. Poczulem swąd znoszonej odzieży. Szkodkawy odór wódki i tytoniu idący od niecierpliwych ust.

- Bo wie pan, ja muszę grać codziennie. Jak ja nie gram, to ja nie zasnę. Ta trąbka to jest już całkiem moja. Pokazać panu?

Wyszarpnął instrument ze stawiającego opór pokrowca. Zaślnął. Prześlizgnęło się po nim światło znaku ostrzegawczego.

- Dech trzaba mieć, nie powiem.

Przytknął ustnik do warg. Wybałuszył policzki, pogmerał palcami po przyciskach, wydobył kilka akordów.

- Tak to jest. Tu w przedziale, to ja nie będę trąbił. Zaraz się zleca ludzie i co komu po tym. Tak to się gra. Najczęściej na weselu, zabawie.

Anna wyciągnęła rękę i dotknęła palcem trąbki. Wzruszyła mnie ta dziecinna, ale przejawiona w stosownym momencie ciekawość. Poczulem się bezpiecznie jakby za jakimś sforsowanym rowem, płotem, pasmem zasieków. Ciężar spada z pleców, prostujesz się, słońce oświetla ci twarz. Krajobraz jest jasny, przyszłość pewna. Zetniesz kilka drzew, zbudujesz dom. Zimą odrzucisz śnieg. Ciśniesz ptakom trochę zera. Zleca się zgłodniałe i kolorowe jałuchy, nadprzyrodzone kwiaty. A gdy poderwą się do lotu zostawiają na śniegu bezładne ślady, które zetnie nocny mróz.

- Tak, tak - gadał muzykant - kilka tysięcy to mnie ona kosztowała. A ja nie miałem tych kilku tysięcy. Ale teraz już jest moja. Już jej z rąk nie wypuszcze. Jak się pani podoba, to dobrze. Da Bóg spotkamy się. Ziemia nie jest szeroka. Zagram na paninym weselu.

Było coś smutnego, coś śmiertelnego w trębaczcu, co jednocześnie zmuszało do solidarności z nim. Gdy pociąg stanął rzekł pakując trąbkę do pokrowca:

- Tak, to już Kwidziń. Murowane miasto.

Zebrał także pozostałe manatki i wycofał się niezręcznie z przedziału, kłaniając się to Annie, to mnie, to pozostałym podróżnym. Dziadek otrząsnął się nieco ze swojej półdrzemki i żywnął za odchodzącym trębaczem wybielonym okiem

- Wstrętny komediant. - zabrzmiało szydercze i zaskakujące określenie Anny.

Zrobiło mi się przykro, jakby do samych płuc dopłynął nie wiadomo skąd zrodzony chłód. Trębacz mógł to usłyszeć, zapamiętać. Ktoś trącił mnie w ramię. Mężczyzna ze szramą. Czekał wiadać na ten moment. Nie chciałem, żeby w przedziale działy się dwie rzeczy naraz.

- Czy ma pan zapalniczki?

- Proszę.

- A czy państwo również zapalają?

Wyciągnął w stronę Anny dużą dłoń, w której tkwiła paczka papierosów w niebieskim opakowaniu.

- Uprzedzam, że mocne.

- Wiem. - odpowiedziała Anna.

- Właściwie to mam zapalniczkę. - mówił podsuwając błękitnawy płomyk - Z tymi zapalnikami to, jakby powiedzieć, pretekst. Widzę dwoje młodych ludzi. Myślę, czemu by nie porozmawiać. Po dróż długa...

Anna parsknęła śmiechem.

- Spryciarz z pana. Takich, to się chyba już teraz zbyt często nie spotyka.

Uśmiechnął się, ale krótko, przez moment. Uśmiechnął się zapewne tak, jak w jego przekonaniu winien się uśmiechać mę-

żczyzna w podobnej sytuacji. Mógł mieć z pięćdziesiąt lat, ale co to jest pięćdziesiąt lat? Ktoś ma pięćdziesiąt lat, a wygląda na sześćdziesiąt. A inny znowu na czterdzieści. Ile kto ma lat można jednak zawsze poznać. Mężczyzna raczej chylił się ku czterdziestce. Był dobrze zachowany, czerstwy, szrama na czole zdobiła go raczej niż szpeciła.

- Nie zawsze ta sztuczka wychodzi...

- No i co ma pan nam do zakomunikowania? - przerwała mu wyraźnie rozbawiona Anna.

- Słyszałem, że pod wieczór kobiety lubią pić kawę?

- Ja nie lubię.

- A można wiedzieć czemu?

- Nie można.

- Jakaś tajemnica?

Anna siedziała pochylona ^{ob rękach} wprzód. Podbródek na dłoni, łokieć na kolanie. Uśmiechała się, ale nie patrzyła chyba na mężczyznę. Może gdzieś dalej, na lśniącej kłance lub regulator ciepła? To zbiło nieco mężczyznę z tropu, ale jeszcze raz podjął rozmowę.

- Wyglądają mi państwo na studentów...

- Bzdury! - krzyknęła Anna prostując się - Bzdury. Powiedz pan lepiej, co pan z tego życia ma?

- Ja, ze swojego życia...

- Pan, ja wiem - krzyczała w dalszym ciągu Anna - może się nazywać Numer Trzeci. - Panu się udało. Pan został tylko z tą szramą. A inni? Kościelny, Krótki, Zesłany, Starofarny, Niewiada, Klepadko, Nikodem... Czy wie pan, co się stało z Nikodemem..

Słowo szło za słowem coraz szybciej. Zlewały się w jeden ciąg. Prędkie i urywane pasmo okrzyków zrodzone z obawy, że tylko w tym jednym, sprzyjającym ułamku sekundy uda się zebrać myśli i skupić wokół nieznanej mi sprawy leżącej od lat ciemnym zło-
giem na dnie świadomości. "Zupełnie tak samo, jak w tym kościele"

Chciałem schwytać Annę za ramię. Wyrwała się, usiadła i oparła głowę o blat rozkładanego stoliczka.

Rozejrzałem się wśród podróżnych. Staruszek aż pokraśniał z zadowolenia. Wygrzebał z kieszeni papierosa, zapalił, widać lubił jak się w podróży coś dzieje. Pozostali - śpiący chłopak i kobieta z dzieckiem - nie zwrócili uwagi na zachowanie Anny. Mężczyzna, nazwany przez nią bez żadnego powodu Numerem Trzecim jednak rozkleił się. Stracił tę pewność siebie, z którą wkroczył do przedziału. Zwyczajem wielu starszych mężczyzn - osądzałem go w myślach - zaczepiających w pociągach młode kobiety, sądził zapewne, że w najgorszym razie rozmowa utknie na wymianie drobnych żłośliwostek, opowiadaniu anegdot, wzajemnym boczeniu się i krygowaniu. Pomylił się. Bolało go to. Dręczyło go również to, że nie umiał wytkumaczyć sobie reakcji Anny. Dlaczego nazwała go Numerem Trzecim? Siedział skożowany, z zaczerwionymi od napływu krwi policzkami i, choć przymus jaki sobie zadawał rzucał się w oczy, starał się nie oderwać wzroku od oprawionej w drewnianą ramkę fotografii przedstawiającej dworek w Żelazowej Woli. Energia Anny wyczerpała się. Podniosła jednak po chwili głowę.

- Popatrz! - zawołała cicho. - Hydroplan.

Pociąg pędził po wysokim nasypie. W dole kołysała się, drżała i mieniła nieskoszona, upstrzona kwiatami łąka. "Łąka - siedlisko życia. Miód z kwiatów łąki." Nadgryzał ją i szturchał jezor jeziora, niewiedomo czy dużego czy małego, krótki, nieforemny, ginący za leśnym zakłosem. Na wzdętej, wypukłej gwałtownej powierzchni wody chybotwała się pomalowana na czerwono, bardzo pokraczna, lecz budząca we mnie pewien sentyment, machina latająca. To był ten hydroplan. Po kilku sekundach pośliznął go olchowy zagajnik. Zamigotał przez chwilę wśród prześwitujących gałęzi i znikł na dobre. Na tle lasu zwalista, pociągowa ko-

była lizaka zrebę. Zrebę było delikatne, smukłe i nerwowe. Na drewnianych stojakach, pomalowane wszcz w białe pasy, ^zkraczały się płoty przeciw śaspom. Na bocznym torze, torze, który pojawił się tylko na moment i natychmiast został wchłonięty przez główny szlak, stał szczerniały od rdzy pług śnieżny. Jeszcze raz pojawiło się jezioro. Tym razem w postaci łagodnej zatoki z bielącą się przystanią. Żeglówki i kajaki podrygiwały na spokojnej wodzie. Zaraz potem miasto, czy miasteczko, nie wiem, trudno się na tym w pędzie poznać. Uliczki, sklepy, wiele wymalowanych jaskrawymi farbami szyldów. Wieża ciśni, kran wodny, a pod nim skulony parowóz. Nastawnie, rozjazdy, zwrótnice, semafony, tarcze ostrzegawcze, ułożone obok siebie perony, ludzie, wiele ludzi. Wszystko to skłębilo się nagle, wyroiło, wyrosło z wnętrza ziemi. Przechyliłem się, musnąłem ustami włosy Anny, ale nie udało mi się dostrzec napisu z nazwą miejscowości. Muśnięcie pozostało na ustach, jak pieczęć. Czuję je, jak czuje się wytatuowany na skórze znak. Kiedy pociąg ruszył ponownie i dudniąc przebiegł kilkaset metrów, znużony melancholijnym pejzażem przedstawiającym to fabryki, to kominy, to ludzi oczekujących przed opuszczonymi szlabanami kolejowymi, pograżyłem się w półśnie. I wydało mi się w pewnej chwili, że już wiem kim jest Anna, jakie są dalsze elementy jej budzącego zdumienie systemu i dlaczego jesteśmy razem, tuż obok siebie. Było to jednak przecucie tak niejasne, tak kruche, tak znikome, tak ulotne, że nawet w chwilę później, gdy minęła i rozwiązało się wśród brzoźek schodzących w głęboki jar, nie byłem w stanie znaleźć dlań formy słownej. To tak, jakbym czegoś dotykał, coś widział, coś słyszał, jakbym zdawał sobie sprawę... ba - nawet posiadał pewność istnienia tego czegoś, a jednocześnie jakbym porażony dziwnym i obozwładniającym rodzajem afazji, nie potrafił tego czegoś nazwać żadnym ze znanych mi słów. W momencie, gdy się

ocknąłem, gdy wstrząs hamującego pociągu i okrzyk konduktora "Gaaaaardeja" wyrwał mnie z mojego półomdlenia, usłyszałem, nie bez zdziwienia, że mężczyzna ze szramą na czole mówi i to mówi do Anny, choć Anna z kolei nie słuchała go i po prostu patrzyła w okno.

Jest zaskoczony i zabiera głos po to tylko, żeby wyjaśnić sytuację, którą - przyznaje - sam potrosze spowodował /"Ale, kto mógł się spodziewać"/. Więc po pierwsze nie miał nigdy pseudonimu Numer Trzeci /"w żadnych ciemnych sprawach rąk nie maczałem"/. Nie miał nigdy żadnego pseudonimu, zawsze występował pod swoim własnym nazwiskiem /"nigdy nie wstydzikiem się i nie wstydzę swojego nazwiska"/, a pod jakim to już on sam doskonale wie. Nigdy nie spotkał się z takimi ludźmi jak Starofarny czy Fabian i innymi, których wymienia Anna /"pamięć mam chwalić Boga dobrą, ale czegoś takiego sobie nie przypominam"/. Domyśla się /"domyślałam się po brzmieniu tych nazwisk, czy raczej przezwisk"/, że chodzi tu o jakąś okupacyjną historię, ale on z tą historią ani z innymi tego rodzaju historiami nie ma nic wspólnego. Wojnę spędził w małym miasteczku. Z nikim się nie bił i jego nie bito /"wszyscy nie mogą pchać palca między drzwi"/. Uważał i uważa po dziś dzień, że jego najważniejszym zadaniem było przetrwać /"nie sztuka zginąć, sztuka żyć"/. Przetrwać po to, by później służyć krajowi. Uważa to za rzecz zupełnie naturalną i nigdy nie robił sobie żadnych, ale to żadnych wyrzutów, że postąpił właśnie w ten sposób /"Sumienie sumieniem, ale nad sumieniem jestem jeszcze ja"/. Stąd i szrama na jego czole nie jest, jak się wyraził "pochodzenia wojennego", lecz stanowi smutną pamiątkę po wypadku samochodowym /"wie pani, że więcej teraz ginie ludzi w wypadkach niż na wojnach"/. Jechał z towarem, sam prowadził wóz, nie jest jego winą, że wpakowała się nań ciężarówka...

- Skończ pan. - powiedziała Anna. - Dość.

Wstała. Uchyliła nieco okno. Do przedziału wdarły się resztki światła, lekkie krople deszczu, nieokreślony, ale rozpoznawalny zapach pól. "Ile niespodziewanych i zaskakujących walerów zyskuje kobieta, gdy uda się jej stać dla mężczyzny zagadką? Ale Anna nie chce być przecież zagadką. Wszystko, co czyni, czyni bezwiednie, kierowana nieujarzmionym, atakującym ją od lat impulsem. Wyjaśnić to wszystko, rozszyfrować, przeprowadzić śledztwo - mniejsza zresztą o określenia. Sześcioro ludzi znajduje się w tym przedziale. Sześć światów. Świat - młody chłopiec. Świat - kobieta z dzieckiem. Świat - drzemiący znowu staruszek. Świat - zdumiony mężczyzna ze szramą. Świat - Anna. Świat - ja, być może najpełniejszy, ale również pełen białych plam. I już za chwilę ten korzystny w gruncie rzeczy układ rozsypie się. Powstanie inny, potem znowu inny, jeszcze inny... Szybko to następuje, coraz szybciej. To kruszenie i scalanie, ta erozja i stapianie, to rozdzielanie i zbliżanie. Tworzą się jednak niekiedy konstelacje stałe, związki stabilne, gromady nierozdzielne. Jeśli dowiem się kiedyś, co w tej zawieszonyj między godzinami, nieruchomej chwili myśli Anna, będzie to znak..."

Zamknęła okno, usiadła, ukradkiem, tak że zauważyłem to dopiero po chwili, wyciągnęła z kieszeni papierosa, zapaliła, dmuchnęła mi dymem w oczy i roześmiała się. A mnie przyszło do głowy, że trębacz powinien niezwłocznie wrócić do przedziału.

daed

Wojciech Roszewski